

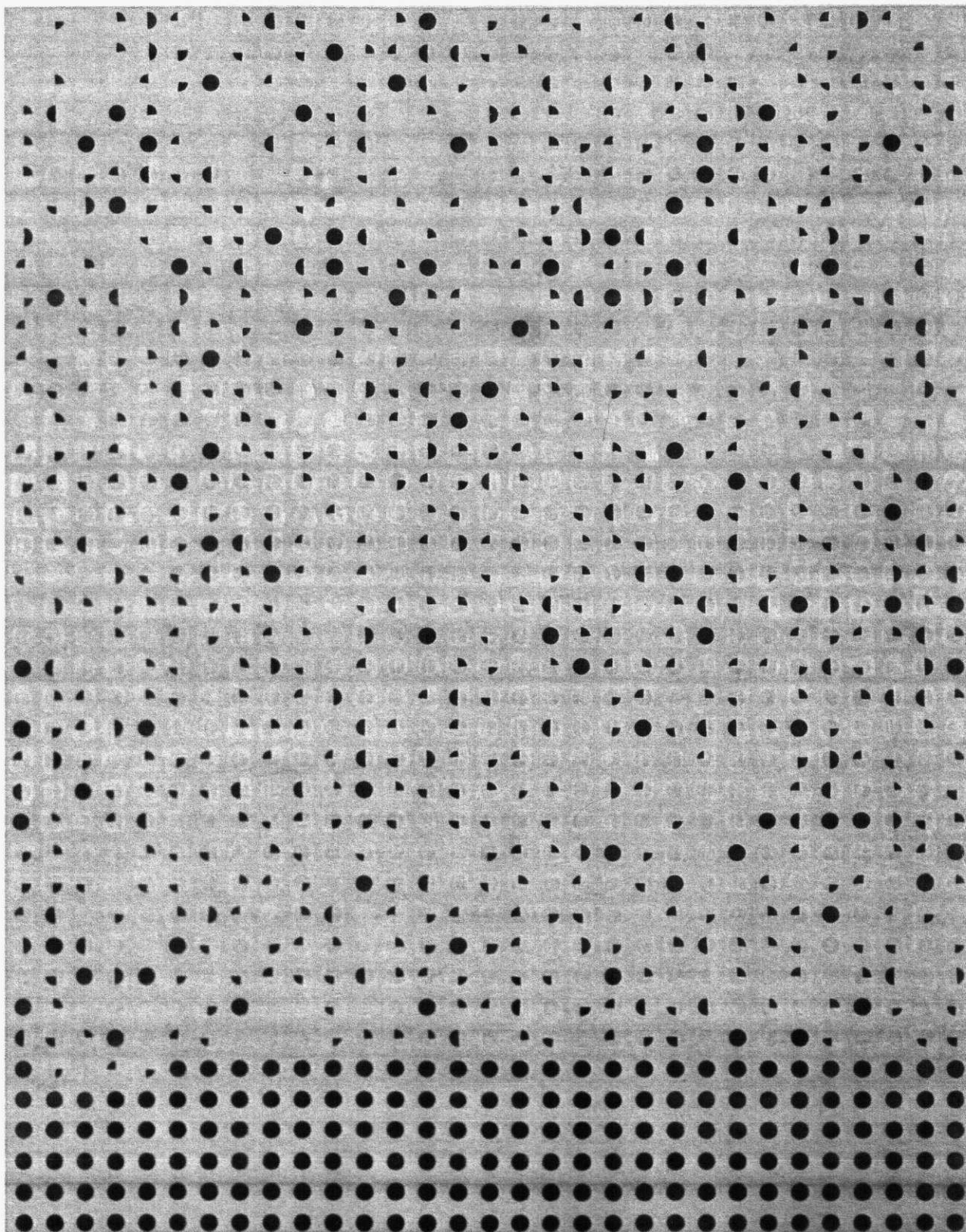
ISSN 0860-8091
Nr Indeksu 336548

Autograf

nr 3 (124)

LISTOPAD-GRUDZIEŃ 2014

LITERATURA + SZTUKA + KRYTYKA + ŻYCIE SPOŁECZNE + GDAŃSK



Maciej Sienkowski „Cytaty z Morawskiego” z cyklu „Alfabet”, płótno, farba olejna, 110x140 cm, 1997/1998 r.

Literacki Kraków pod koniec wieku

(O Związku Literatów Polskich z Anną i Jackiem Kajtochami

rozmawia Remigiusz Kasprzycki)

Remigiusz Kasprzycki (dalej RK): Chciałbym państwa zapytać, jak wyglądała sytuacja polityczna po marcu 1968 roku, a także jak po grudniu 1970 przedstawiała się sytuacja w krakowskim Oddziale ZLP.

Jacek Kajtoch (dalej JK): Wstąpiłem do ZLP w styczniu 1970 r. Marzec 1968 roku obserwowałem z okien siedziby PAN przy ulicy Straszewskiego, byłem sekretarzem „Ruchu Literackiego”. Nie widzę bezpośrednich przełożeń ówczesnych zmian, czy też awantur w polityce na życie literackie. W styczniu 1970 zastałem ZLP jako związek o stałych strukturach personalnych, o bardzo elitarnym charakterze, gdzie nie było łatwo się dostać. Interesowałem się życiem młodych pisarzy na prowincji. ZLP nie był pod tym względem aktywny, chociaż nie mówię, że się takimi twórcami nie interesował. U nas interesowano się Tamowem, Rzeszowszczyzną, a szczególnie Kielecczyzną. Wydaje się, że to była kontynuacja przedwojennych zainteresowań ZLP. Bo tutaj, w Krakowie, był czynny Stefan Otwinowski, moim zdaniem bardzo niedoceniany człowiek. To był pisarz formatu przedwojennego. Związek – to była trochę kawiarnia, ale też prowincja, dbanie o dobro literackie polskiej prowincji.

Żeby się dostać do ZLP w 1970 roku, trzeba było napisać dwie książki, co też spełniałem. Podanie do ZLP złożyłem w 1969 roku. Sprawa trwała kilka miesięcy. Był taki zwyczaj w ZLP, że schodzili się „pisarze dorodzi”, ale także młodzi pisarze na bal sylwestrowy. Na tym balu podszedł do mnie Włodzimierz Maciąg, który był szarą eminencją, ale chyba też największym oportunistą, który odważył się pokazać prawdziwe poglądy dopiero w latach 80. Podszedł do mnie i powiedział: „Gratuluję przyjęcia do ZLP, dzwonił Kijowski, daliśmy panu jak najlepsze świadectwo”. Działała Komisja Kwalifikacyjna, ale jednocześnie trzeba było uzyskać dobrą opinię u starszyny. Powiedziałbym, że to były takie rekomendacje moralne. No i rzeczywiście po kilku tygodniach dostałem zawiadomienie, że jestem członkiem ZLP.

Zostałem wtedy zaproszony do Bielin, to była rodzinna wieś Ozgi-Michalskiego na Kielecczyźnie. Tam było właśnie seminarium poświęcone rozwojowi literatury na Kielecczyźnie. Moment był jednak fatalny, bo ten rok 1968 na Kielecczyźnie bardzo się odbił, wyrzucono na przykład z życia literackiego Babinicza. Mówiono, że jest Żydem i byłym AK-owcem. Nie wiem czy był Żydem, czy był byłym AK-owcem. Lubilem go i uważałem za wartościowego człowieka. Zabrałem głos na tym seminarium i jeden z obecnych pisarzy, Jan Koprowski, który był bardzo ważny w ówczesnym środowisku, powiedział: myśmy się wali, że przyjęliśmy do związku jakiegoś polonistę (a ZLP nie lubił wtedy polonistów), ale ty jesteś nasz, ty jesteś normalny literat. Po kilku tygodniach w Warszawie przedstawiono mnie Jarosławowi Iwaszkiewiczowi. Starszyna musiała mnie zaaprobować. Ona była ukształtowana jeszcze przed wojną. Bo wie Pan, ci młodszy pisarze, którzy byli wtedy w Związku, to nie za bardzo się liczyli, lub liczyli się tylko dlatego, że byli na stanowiskach. Najlepszym przykładem może być Machejek, który był połem, redaktorem naczelnym „Życia Literackiego”. On mógł wiele rzeczy zastopować, ale on intelektualnie się nie liczył. Tu się liczyli właśnie tacy ludzie, jak Otwinowski, Hołuj był bardzo lubiany i była ta przedwojenna hierarchia. W tej sztywnej hierarchii jednym z nielicznych młodych autorów byłem właśnie ja, nie licząc Wiesława Pawła Szymańskiego. Aha, był tam jeszcze Pieszczachowicz, który był jednak lekceważony z powodu swojego oportunizmu i takiego pyskowania szczególnie na swój temat. To jego ego było znacznie większe niż rzeczywistość. Do Koła Młodych aspirowały również Hanna Gorazd, Krysia Szłaga, młodzi ludzie i Ewa Lipska, która była na specjalnych prawach, dlatego że ona była ulubienicą Szymborskiej i Filipowicza. Ona należała do „pod-związku”, bo człowiekiem, który musiał każdego młodego literata namaścić był Adam Włodek, który był pierwszym mężem Wisławy

Szymborskiej, a wszystkie młode poetki, które w jakiś sposób chciały się liczyć, przeszły przez, że tak powiem, łożko Włodka. To był też mąż – formalny, czy też nieformalny – Ewy Lipskiej. On mnie też namaścił. Bo ja długi czas, jako działacz Związku Młodzieży Socjalistycznej, współpracowałem z Kołem Młodych (ZLP). Już wtedy się poznaliśmy.

RK: To bardzo ciekawe, że 20 lat „komunizmu” nie zabiło tej literackiej egalitarności, tych przedwojennego typu układów towarzysko – personalnych.

JK: Te układy rozbiła „Solidarność”, z jej całą koncepcją łże-elit... A wie Pan, że ja nawet nie należałem do Koła Młodych?

RK: Dobrze, że ten temat Koła Młodych został wywołany. W materiałach IPN, przy okazji sprawy SOR „Świt”, pojawia się ciekawa notatka jednego z funkcjonariuszy SB, że Jerzy Harasymowicz na spotkaniach Koła Młodych ZLP nic nie robi i jedynie lansuje poetów, a wokół prozaików panuje stagnacja. Nawet w raportach SB pojawia się jakaś obawa, że takie prowadzenie przez Jerzego Harasymowicza Koła Młodych ZLP bardzo źle wróży.

JK: Bo oni się pewnie denerwowali, że w Krakowie są naciski na poetów...

RK: Nie było w tym jednak jakiegoś szczególnego nacisku politycznego?

JK: Nie, nie o to chodziło. ~~Adam~~ Augustyn, Jasiu Stoberski to byli bardzo oswojony ludzie. A Harasymowicz nigdy nie był żadnym opiekunem Koła Młodych. On tam mógł przychodzić...

[Anna Kajtoch] (dalej AK): On był członkiem zarządu i organizował konkurs, który zresztą ja organizowałam razem z nim. Razem jurorowaliśmy. Zwyciężyła wtedy taka dziewczyna ze Skawiny, która teraz jest lekarką. Potem został jej wydany tomik, któremu patronował Harasymowicz, ale jego wpływ polegał na tym, że w domu kultury prowadził grupę poetycką Weranda, do której należała m.in. bardzo zdolna poetka Zemanek.

JK: Opiekunem Koła Młodych był długie lata Adam Włodek. On ma tutaj

zresztą duże zasługi. Nam zaś tego bardzo zazdrozczono w innych ośrodkach. Po Włodku były zaś straszne kłopoty, trochę był opiekunem Jerzy Górszkie-wicz, ale to już nie było to, dalej Ryszard Kłysz, to też nie było to. Nawet ja byłem przez jakiś czas opiekunem i na jednym z posiedzeń na moich rękach zmarł Stefan Otwinowski...

Wracając do tematu. Pisarze partyjni nie mieli wielkiego znaczenia, ani literackiego, ani moralno-politycznego. Oczywiście było straszne podlizywanie się, bo Machejek miał swój „dwór” i tu by się Pan zdziwił, kto do niego należał; Maciąg to był czołowy dworak, Elektorowicz. Przecież Machejek ich wszystkich utrzymywał. Był też w nim Terlecki. Myśmy przystąpili do ataku w 1972 roku, kiedy był zjazd ZLP w Poznaniu. Pierwszy sygnał do „rewolucji” był taki, że usiedliśmy razem z Szymańskim w pierwszym rządzie, na miejscach, które były zarezerwowane dla Hołuja i Machejka. Pierwszy raz wybraliśmy na ten zjazd, właśnie na ten zjazd, siebie samych, a nie tamtych dwóch.

AK: Na ten zjazd pojechała też Szymborska...

RK: Widzę, że bardzo ambicjonalnie były traktowane te wyjazdy. Staczano o to, kto ma tam pojechać, prawdziwe bitwy...

JK: Myśmy pojechali na ten zjazd, ale wcześniej doszło do strasznej afery, którą spowodowali młodzi, to jest Jan Prokop, Tadeusz Nowak, taka nieformalna grupa. Mianowicie stanęliśmy w obronie nauczania języka polskiego. Byli w tej grupie także Kwiatkowski, Szymański. Co ciekawe nie były tam ważne różnice partyjne. Nie odczuwałem tego, że jako członek PZPR byłem przez nich źle widziany. Najważniejsze było to, że ja pyskowałem w obronie – jak mówiliśmy – starszych kolegów, to znaczy, by nie usuwać z programu Mickiewicza... Myśmy pojechali z tym programem i próbowaliśmy zainteresować zjazd. W pewnym sensie zainteresowaliśmy, aczkolwiek Machejek apelował, aby się nie wypowiadać na te tematy. To była pierwsza sprawa. Potem próbowaliśmy stworzyć pismo literackie. To było nasze marzenie. Mieliliśmy od 1957 do 1958 r. „Zebra”, ale później nam się nie udawało stworzyć pisma. Dlatego w latach 70.

podjęliśmy starania. Wśród inicjatorów byli ludzie różnych opcji, światopoglądów; wtedy nie mówiono, że jak katolik to „be”, jak marksista to „be”.

RK: Bardziej więc szło o aksjomaty?

JK: Tak, właśnie tak. Broniliśmy polskiej kultury. Byliśmy również przeciwko tej fatalnej dziesięciolatce w szkolnictwie, zaczęliśmy też współpracować ze szkołami – to była inicjatywa typowo krakowska: lekcje literatury prowadzone przez polskich literatów. Pisma nie udało się stworzyć. Powiedział mi sekretarz krakowskiego KW, Czyż, że Machejek miał stwierdzić w Komitecie Partyjnym, że jeśli przyzwolicie na stworzenie pisma, to już przegraliście. Machejek zaś dla Partii to był guru. Gdyby jeszcze rok, dwa żył Iwaszkiewicz, to przeprowadziłby nas przez te lata 81-82. Zamiast niego dano politykiera.

RK: Ma pan na myśli Jana Jozefa Szczepańskiego?

JK: Tak.

RK: Szczepański zarzucał, że Iwaszkiewicz był koniunkturalistą...

JK: Koniunkturalistą?! Tylko niech najpierw Szczepański przeprowadzi środowisko literackie przez okupację niemiecką, kiedy Iwaszkiewicz ratował Żydów, niech on potem przeprowadzi związek przez stalinizm, niech on przeprowadzi go przez te lata Gomułki i Kliszki, którzy nie lubili literatów. Prawdopodobnie uważali, że jesteśmy rozrabiaczami...

Szczepański mnie nie lubił, ale to z innego względu. Jestem z Wadowic. Muszę się tutaj cofnąć do 3 września 1939, a więc do czasu mojego dzieciństwa. Szedłem z ciocią, działaczką Strzelca, żoną legionisty, żołnierza II RP. Zobaczyłem pędzącą od strony Choczni baterię artylerii konnej, spienione konie, dramatyczny widok. A potem ukazała się Szczepańskiego *Polska jesień*, gdzie on pisał, jak oni w bojach, spokojnie, wycofywali się przez południe Polski. Powiedziałem do niego: panie Józefie, jak to możliwe, że tak spokojnie wyście się wycofywali. Wyście mnie o mało wozami nie rozjechali. I opowiedziałem mu całą historię z 3 września. Bardzo się na mnie obraził. Potem miał pretensje. A w *Dekadzie* kłamał...

RK: Była też słynna polemika w „Gazecie Krakowskiej”, autorstwa

Stanucha i całe zamieszanie ze Stanuchem i Pieszczachowiczem, który był wzywany na partyjny dywanik...

JK: Pieszczachowicz sam leciał. To był dopiero karierowicz. On jednocześnie biegł do Partii, a drugiej strony donosił Szczepańskiemu. Szczepański nie znał tych partyjnych spraw, tylko wszystko wiedział od Pieszczachowicza, a Pieszczachowicz to konfabulacja...

AK: Wie pan, jak to wyglądało? Współpracowałam z Pieszczachowiczem w „Studencie”. Tam były największe boje z cenzurą. Cykl był dwutygodniowy. W ciągu trzech dni trzeba było zrobić numer i wszystko szło do cenzury. Cenzura mnóstwo rzeczy skreślała. Część ludzi uważała, że Pieszczachowicz się zgadza na cenzurę, że nie walczy. Z drugiej strony puściliśmy wiersz na temat tego Czecha, który się spalił, (Jana Pałacha – R.K.), a kiedy chcieli Pieszczachowicza zwolnić, to jednak wszyscy go żałowali... On dużo zrobił, aby utrzymać pismo.

RK: Z tymi prezesami krakowskiego oddziału ZLP to był w latach 80. pewien kłopot, ponieważ nikt chyba nie spieszył się do piastowania prezesury w związku. Najlepszym przykładem jest Julian Kawalec.

AK: Kawalec był facetem starego typu, a tutaj jak się zostawało prezesem, to się dostawało mieszkanie, auto, działkę, mieszkanie dla rodziny. Było to więc takie pewne hodowanie tych prezesów. To szło takim ciągiem...

RK: Jedna rzecz mnie szokuje. Jak powstał ten nowy, czy też reaktywowany ZLP po 1983 roku, to pojawiła się informacja, że zarząd urzęduje na Kanoniczej, a tam pomieszczenia są dzierżawione od Kurii. To mnie trochę zszokowało. No bo tutaj ten „czerwony związek”, a tutaj Kuria. Jednej i drugiej stronie nie przeszkadzało to w porozumieniu?

AK: My, tzn. ten stary związek, chcieliśmy zostać na Krupniczej, bo tam była stołówka, a także mieszkania. Walczyliśmy o mieszkanie dla Sadaja. Niestety nie udało się go wywalczyć, a mieszkanie dostał Ziemiąn.

RK: Mam pytanie o prezesurę Krawczuka, ponieważ on bardzo był niezadowolony z wyboru na prezesa ZLP, tłumacząc się obowiązkami ministerialnymi i naukowymi. Czy on rzeczywiście

próbował łączyć te dwa zwaśnione środowiska literackie?

JK: Chyba nie za bardzo...

AK: Proszę pana, to wszystko powstało z głupiej sprawy. Wiadomo było, że są te dwa nurty, choćby dlatego że nastąpiła zmiana socjologiczna. Wiadomo, że przyszedli nowi pisarze, nie z tego układu przedwojennego i nie mieli specjalnej siły przebicia. Bo przecież znaczenie w literaturze buduje się całymi latami i książkami. Trzeba też, żeby pisanie docierało do czytelnika, w ten czy inny sposób. To się bardzo zmieniło. Część tych literatów, to z powodu ideowych, jak i towarzyskich poszło (z ZLP)...

RK: Bo ktoś kogoś nie lubił z tego, czy innego powodu? Bo ktoś na kogoś się wcześniej obraził?

AK: Tak, poza tym był podział majątku. Bo było bardzo wiele mebli, część starych literatów dawała je w formie spadku. To były piękne stylowe kanapy, meble. Wszystko było własnością ZLP, a jak się Związek rozpadł, to nastąpiła kwestia podziału...

RK: Jednak były takie dobre, wspólne momenty organizowane, jak na przykład Jesień Prozy, czy Poezji?... To chyba można było jeszcze odbudować.

AK: Nie, już chyba nie. Oni (SPP) wzięli te meble... No, ale z nami, jakby to powiedzieć, w ogóle nie chcieli przebywać. Myśmy organizowali na przykład wielkie przedsięwzięcie, jaką była Noc Poezji, przez całe lata. Stałiśmy zaproszenia do innych. Raz, czy dwa razy, przyszła od nich taka Ptak, tak chyba się nazywała. To było wszystko.

JK: To wszystko wytłumaczył mi Maciąg. Jak ja się zapytałem Maciąga, dlaczego nie chcecie być z nami wspólnie, to on powiedział: bo jakby przyjechała jakaś zagraniczna delegacja, to przez pomyłkę mogła by pójść do was.

RK: Właśnie Maciąg, czy może Bronisław Maj...

JK: Właśnie. Ten ostatni, strasznie zażarty...

RK: Może dla współczesnych pisarzy polskich dzisiejsze związki literackie, takie SPP czy ZLP, są w ogóle jakimś archaizmem? To pewnie jest piękną ideą bycie w takim związku, ale z drugiej strony widać, jak szereg osób, Olga Tokarczuk, czy Andrzej Stasiuk mający swoje wydawnictwo, oni idą sobie wła-

snymi drogami, nie potrzeba im żadnych związków, nie sędzę, aby byli gdzieś zrzeszeni...

JK: Ma Pan rację. Jak my wymrzemy, te związki się rozpadną... Wracając jeszcze do Krawczuka, to ja go uważałem za bardzo pozytywnego ministra kultury. Gdy wydawałem antologię pisarzy polskich z Wilna, ktoś „życzliwy” polecał do ambasady czy konsulatu ZSRR mówiąc, że to jest książka antyradziecka. Pojechałem wtedy do Krawczuka i powiedziałem mu o całej sprawie, tłumacząc, że chciałbym, aby ta książka była oficjalna, a nie podziemna. Za kilka minut już znalazła się w księgarniach.

RK: Kolejna próba pojednania tych dwóch zwaśnionych środowisk nastąpiła podczas Kongresu Kultury?

AK: Takie próby były i są kontynuowane. Robiła je Konfraternia Poetów, którą robił Lubart. Były próby robione w Zielonym Baloniku...

JK: Byłem zwolennikiem tego pojednania, ale kiedy zauważyłem, że wdali się w to politycy, to od razu wiedziałem, że się to nie uda. Teraz widzę do tego dużą negatywną rolę dzielenia tych środowisk przez „Gazetę Polską” i przez IPN.

RK: Zgadza się, są tacy poeci pełni nienawiści jak Jarosław Rymkiewicz, ale byli też ludzie skrzywdzeni z tamtej strony, jak Marek Nowakowski czy Lothar Herbst.

JK: Ale oni nie należą do tej czołówki co wspomniany Rymkiewicz...

RK: To jest prawda...

AK: Ale wie Pan, gdzie się jeszcze kiedyś spotykaliśmy? W ZUS. Był w związku człowiek, który nazywał się Jerzy Jesionowski. Zorganizował lobby w Sejmie, kiedy jeszcze pisarze byli posłami. Chodziło o to, aby ludzie, którzy pisali, mogli sobie odkładać pewną część swoich dochodów na przyszłe emerytury. To było jeszcze w latach 70.

JK: Tak więc stałem któregoś dnia we wspólnej kolejce razem z Adamem Włodkiem i Wisławą Szymborską. To jest ciekawe, że po to poszliśmy wszyscy.

RK: Chciałem zapytać o jeszcze jedną rzecz, o wizyty papieskie Polsce. Czy miały jakiś realny wpływ, czy to wywoływało dyskusje w ZLP?

JK: Realnego wpływu nie miały żadnego. Powiem Panu jak to przyjęliśmy, pamiętam jak On został wybrany...

AK: Myśmy należeli do grupy literackiej „Nadskawie”. I Jacek wybrał (do antologii) wiesz Wojtyły, jak powstała grupa literacka...

JK: To było bardzo wzruszające. Siedzimy – w siedzibie ZLP, KK PZPR, kawiarni, nie pamiętam gdzie dokładnie – a naszym gościem był Wałach, którego przyprowadził Machejek. Sekretarka zwołała Hołuja, który mimo że zawsze był ponury, to wrócił z rozjaśnioną twarzą. I powiedział: Karolek został papieżem! Wie Pan, była wielka radość, ale zaraz rozpoczęła się gra polityczna. Zaraz Wałach zwrócił się do jednego z urzędników: proszę mi przygotować teczkę Karola Wojtyły. Pieszczachowicz pisze, że on w imieniu środowiska wyleciał wysyłać depezę. Nasza reakcja była serdeczna i normalna. Dlatego że on należał do tego pokolenia – Tadeusza Kwiatkowskiego, Tadeusza Hołuja; to był ich kolega uniwersytecki.

RK: Z Żukrowskim korespondowali do końca życia, to jest najlepszy dowód...

JK: Właśnie, o to chodzi, ale tutaj też była duża rola politykierstwa „Tygodnika Powszechnego”... Chociaż, wracając do mojego wysyłania listu adresowanego do papieża w sprawie zgody na opublikowanie jego wierszy w antologii „Nadstawia”, to trzeba przyznać, że Kościół ładnie się zachował. Po kilku dniach od wysłania listu do Watykanu zadzwonił do mnie późniejszy kardynał Jaworski, który wytłumaczył mi, że Karol Wojtyła się zgadza, ma tylko jeden warunek: żeby honorarium za wiersze przeznaczyć na biednych w Wadowicach. Ale jedynym literackim czasopiśmie, które nie zrecenzowało tej książki, był „Tygodnik Powszechny”. Moim zdaniem to chyba tylko dlatego, że to była inicjatywa środowiska literackiego. Proszę Pana, ja miałem różne etapy w życiu, w połowie lat 90. powróciłem do Kościoła. Wszyscy myśleli, że dla kariery... Ale nie dlatego, tylko dlatego, że lekarze mi powiedzieli, że jej (to jest Anny Kajtoch – R.K.) serce nie wytrzyma, a wytrzymało. Nie wszystko można więc wymierzyć w kategoriach rozumu.

(Rozmowę przeprowadzono 15 grudnia 2010 roku w Krakowie)

Przygotował do druku
Wojciech Kajtoch